

Polacy na szlakach świata

P. Armin — plantator z Liberii

teskni za słońcem Afryki

Przez znajomych moich znajomych dowiedziałam się, że znajomy znajomych moich znajomych świeżo powrócił z Liberii. Jak to się mówi — szalona...! Skoro nie można samej wyjechać po za granicę — powiedzmy — Euro-py, — dobrze, choć od kogoś, kto tam był dowiedzieć się, co też dzieje się na tym naprawdę „szerekim świecie”.

Państwo Armin przyjechali za ledwie parę tygodni temu ze swej



Na czarnym wybrzeżu

plantacji w głębi równinowej puszczy. Pan Armin wyjechał do Liberii z ramienia Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Mieszkanie, do którego zostałam wprowadzona urządzone jest bardzo nowoczesnie, z dużą domieszką... egzotyki. Pierwsze moje spojrzenie pada na maski dla belskie, rozwieszane po ścianach: czarne, hebanowe, niesamowite. Jest to największa w Polsce kolekcja maszek, które służą Murzynom podczas świętych tańców i innych obrzędów religijnych. Egzotyczny ton w urządzeniu mieszkania nadaje także wielka ilość murzyńskich kilimów: w kraty pasy — najrozmaitsze. Jedną ścianę pokoju zdobi piękna kolekcja broni murzyńskiej, są to oszczepy, noże, szable. Włócznia, która mi się najbardziej podobała, jak się dowiedziałam jest darem jednego z sheff (czytaj: czif) — to znaczy kacyk. Zachwycona jestem piękną skórą lamparcia i... imponujących rozmiarów, bo licząca aż 5,5 metra skórę węża.

— Wszystkie moje znajome panie zawsze w pierwszej chwili trochę się boją tego kolosa, ale zaraz potem wdychają: „ile też to mogłoby być z tej skóry... pan tofelków” — śmieje się p. Armin.

CZARNY „WERSAL”

Zawsze ciekawa była dla mnie ta maleńka republika afrykańska, najdziwniejsze może państwo, nie tylko na Czarnym Lądzie, lecz i na całym świecie. Założona została przez murzyńskich, jakbyśmy dziś powiedzieli, reemigrantów.

tów, potomków niewolników ze Stanów Zjednoczonych. Państwo to rządzi się na zasadach republikańskich, utrzymuje stosunki z innymi państwami, ma swoich czarnych przedstawicieli na całym świecie. Z ciekawością też do pytuje się o stosunki tej „czarnej” dyplomacji.

— Niczym nie różni się ona od dyplomacji całego świata — słyszę odpowiedź. — Jak wszędzie — mowy, obchody, rocznice, bankiety, dzentelmenów we frakach, o wychowaniu europejskim. Cała różnica — to kolor skóry.

— A jakże Europejczyk czuje się tam?

— Bardzo dobrze. Na ogół Murzyni są najlepszymi nastrojeni w stosunku do białych, szczególnie zaś Polacy cieszą się w Liberii uznaniem, uważają nas za bardzo uczciwych.

— Więc o jakichś wrogich wystąpieniach, powiedzmy, na plantacjach — mowy być nie może?

— Najzupełniej. Zresztą czarnym imponuje siła charakteru, której Polacy, przebywający w Liberii wiele wykazali.

— Słyszałam, że Murzyn, to bardzo zły robotnik.

— Nienajlepszy. Wolę robotę białego niż trzech czarnych.

— A jak są wynagradzani na plantacjach?

— 70 groszy za dzień pracy. Robotę zaczyna się o 6-ej rano, kończy się o 4-ej po południu. Na ogół są oni zadowoleni z wynag-

nia, jeszcze pracę domową i dzieci. Toteż u Murzyna można czasem spotkać się z bystrą inteligencją, są np. bardzo spostrzegawczy, umieją krytykować i to słusznie, szczególnie wszystkie czynności każdego białego są skrupulatnie oceniane jednak zawsze bardzo sprawiedliwie. Za to Murzynka, to dla mnie jakieś bezduszne i bezmyślne stworzenie, obdarzone jedynie zdolnością wykonywania pewnych funkcji.

— A klimat? — jakże go pan znosi?

— Zupełnie dobrze. Najlepszy dowód, że wcale nie chorowałam. I uważam, że każdy Polak zdrowo fizycznie i moralnie, ani nie rozchoruje się w Afryce, ani nie załamie psychicznie pod wpływem uciążliwego klimatu, jak to ludzie chętnie takie bajeczki opowiadają.

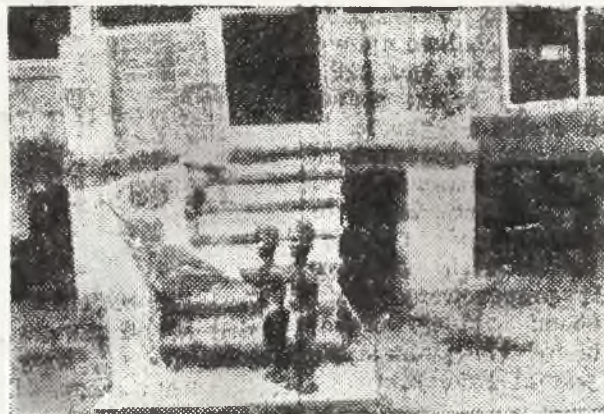
SŁOŃCE RÓWNIKOWE NIE OPALA

Spooglądałam na mówiącego: — rzeczywiście wygląda, jak okaz zdrowia. Tylko dlaczego nie opala? W odpowiedzi słyszę zdanie, które może wydać się bardzo dziwne.

— Słońce równikowe nie opala. Na równiku bowiem rzuca ono promienie o nasileniu wybitnie termicznym, ultrafioletowych promieni, które opalają trzebawy szukać gdzieś w Afryce Północnej. Proszę teraz mego rozmówcę o opowiedzenie jakiejś przygody z

ne. Cóż, chodzę często na polowania, zabijam dzikie zwierzęta, lamparty — o, widzi pani, jest to czaszka olbrzymiego szympansa, był prawie mego wzrostu, a klatka piersiowa dwa razy szersza.

Dotykam czaszki tego leśnego



Murzyńskie lalaczki.

olbrzymia, oglądając jego fotografię. Rzeczywiście, jakże wielki.

BAWÓŁ MA „TWARDE ŻYCIE”

— Więc polowanie na tak niebezpieczne zwierzęta, nie daje panu emocji?

— Emocji? — Tak, nawet bardzo wiele. Ale żeby to miało być aż przygodą... Przecież zawsze mam przy sobie długi

noż, bez którego nie można się poruszać na wyższych ścieżkach puszczy, tak szybko one zarastają. Tak bardzo przyjemne są te polowania. Poluje się nocą, z latarką, która jest umieszczona na głowie. Rzuca ona snop światła na 100 metrów. Gdy spostrzegam w ciemności z boku inne światelko, wiem, że to błyszcząca oczy zwierzęcia. Trzeba wtedy podejść — strzelać można dopiero na 40 metrów.

— I gdy tak o te 40 metrów zobaczy pan lamparta gotującego się do skoku...

— Wtedy strzelam.

— Czasem można nie trafić.

— Jakoś dotąd zawsze trafiłem — słyszę wesołą odpowiedź.

— Mówiąc o niebezpieczeństwie polowania, dała pani jako przykład lamparta, uważając, że jest on najgroźniejszym ze zwierząt, jakie zamieszkują Liberię. A czy uważy mi pani, że o wiele więcej wypadków bywa na polowaniu na bawoły, dlatego, że ma on takie — określając gwarą myśliwych — „twarde życie”. Znamy mój strzał kiedyś do bawołu na 150 m. Trafił, ale zwierzę szło

dalej na niego. Wyrzucił sześć kul i dopiero o 10 metrów przed nim bawół padł. Po zbadaniu okazało się, że wszystkie strzały były śmiertelne.

— Jak daleko jest do plantacji pana od Monrovi? — (stolica portu Liberii).

— Bardzo wygodnie. W domu mam wszystkie kulturalne urządzenia, cały zaś obszar plantacji poprzecinany jest drogami. Wybudowałem również drogę samochodową na swoim terenie. Tylko dojdzie do samej plantacji jest trudniejsze. Trzeba często przechodzić po tak zwanych „małych mostach”. Jest to po prostu palma, która przewróciła się, tworząc naturalny most nad potokiem.

— Z całej naszej rozmowy widzę, że z chęcią wróci pan do Liberii.

— O, tak. Właśnie, trudno jest nawet określić, na czym polega urok tropików. Czy pociąga to ośzołamiągające bogactwo przyrody, czy całkowita swoboda, czy jeszcze coś innego — sam nie wiem. Ale faktem jest, o czym zresztą wielu ludzi już pisało, że kto raz był na równiku, zawsze będzie tęsknił i chciał wrócić.

GŁOS WARSZAWY POD RÓWNIKIEM

— Więc nie brak panu tak zwanego cywilizowanego świata?

— Nie. Mam w domu patefon oraz duży komplet płyt z poważną muzyką. Muzyka jest dla mnie najlepszym wypoczynkiem po pracy. Czytam również dużo. Mam świetne radio, mogę słuchać nawet Warszawy. Ale czy pani da wiarę, że przez radio najczęściej słucham również koncertów. Wszelkie „nowinki” z tak daleka są o wiele mniej interesujące. Miło jest również posłuchać wieczorem śpiewu Murzynów, którzy na wędrownym campie robotniczym



Murzyn, nacinający drzewo karczówką.

(wioska) śpiewają i tańczą wokół ogniska przy dźwiękach „tam-tam”, puszczają i wielkich bębnow.

Dziękując za tyle wiadomości, żegnam p. Armina, który obiecuje, gdy w czerwcu, czy lipcu wróci z powrotem do Liberii, przysłać do „ABC” ciekawe korespondencje i piękne zdjęcia dla naszych czytelników.

Wanda Firley.

JACEK BRZEZINA

59)

PERŁY I KARABINY

POWIEŚĆ

Wieści, docierające do wszystkich zakątków Arabii, nie ominęły i Kuweitu, a raczej jego niedźnych przedmieść, jako że bunt i rozgoryczenie, zarodek i największy posłuch mają w biedzie i nieszczęściu ludzkim.

Na dużym placu, otoczonym z czterech stron ciemną ścianą namiotów, zebrał się tłum. Nie wszyscy wstę tam mieli. Czuł się, złożone z beduińskiej młodzieży strażę czatowały na krętych uliczkach na nieproszonych gości z „miastem”.

Pyzaty księżyc spoglądał z góry na białe lub czarne haiki zebranych, lekki wiatr z pustyni podrywał palące się w środku placu ognisko, słony zapach morza mieszał się z zapachem potu ludzkiego i kiepskiego tytoniu.

Panowała cisza. Z niedalekiego miasta dobiegał gwar wieczornego życia, tutaj czekali na coś, na kogoś...

Kłopot, siedzący w kucki niedaleko ogniska, poglaskał swą, sztuczną wprawdzie, lecz niemniej imponującą brodę, nasunął głębiej na oczy haik i począł z iskrą arabską cierpliwością po raz nie wiadomo który przebieierać w palcach kościene kulki różańca. Był zadowolony ze swojej charakterystyki. Nikt go nie poznał, ba! nawet nikt nie zwrócił uwagi na starego Araba, co przywlokł się tutaj, podpierając się ciężko sekątem kijem.

— As salam alaikum!

— Asad allah ayqatkom! — stary Haddzi kiwał głową ustępującym mu myśkającemu beduinom, kuśtykał, charczał, mruzczał pod nosem modlitwy i wreszcie znalazłszy się w wygod-

nym do obserwacji miejscu, usiadł ciężko, wyjął różaniec, i już tak od godziny przebieierał go w palcach, zdając się nie zwracać uwagi na to, co się wokoło niego dzieje.

W duchu jednak śmiał się, niczym małe dziecko z wyrządzonego figla.

Nagle tłumem przeszedł dreszcz. Rozległo się przeciągłe „Aaaaaa!”. Z jednego z namiotów, otaczających plac, wyszła



Rys. I. Ł.

jakaś postać. Wysoki, poważny starzec o białej, spadającej na piersi, brodzie, białym burnusie, bosy.

Kłopot drgnął. Takiego wzroku nie widział dotychczas nigdy. Oczy starca pały wewnątrz ogniem, zdawały się być oczami szaleńca lub proroka. Nieruchome, wpatrzone gdzieś w dal, przenikały na wskroś, hipnotyzowały...

I zbiorową hipnozę chyba można było nazwać nastrój

łumu ciemnych, nieokrzesanych synów pustyni, słuchających raczej rozkazowi podobnych słów.

— Allah nas poprowadzi! — trzęsła się w powietrzu ręka starca o zakrzywionych, niczym u sępa, palcach... — Kto poległ w świętej wojnie, ten wstąpi wprost do raju, gdzie czekają go rozkosze nadziemskie... Biada tym, co z nas, wolnych synów Allacha, chcą zrobić niewolników niewiernych psów. Biada tym, co chcą nas sprzedać!

Tłum słuchał, hipnotycznie wpatrzony w proroka wojny. Czekal tylko na rozkaz, by rzucić się z gołymi rękami na pancerze i żelazo, chroniące „niewiernych”. Tak było w 1919 roku w Syrii, gdy późniejszy król Iraku, Fajsal, mianowany się samowładnym królem Syrii, musiał stoczyć walkę z wojskami francuskimi, w której to walce głównodowodzący wojsk Fajsala, szeik, poległ, rzucając się konno z szablą w dłoń, na francuskie samochody pancerne; tak było w 1925 roku, podczas rewolucji Drużów w Syrii, gdy mężczyźni, niebieskocy mieszkawcy Dżebel Hauran *) zdobywali gołymi rękoma samochody pancerne; tak wreszcie było w 1936 roku, gdy powstańcy Fauzi beya **, walczący o niepodległość Palestyny, zdobywali i unieszkodliwiali również nieomal gołymi rękami angielskie tankietki.

Dziś fanatyzm, podsycony polityką samych „niewiernych”, zdawał się czekać tylko swego wyzwolenia, czekać na chwilę, by, jak dawniej, pożoga i krwawo zniszczyć kulturę niosących ją „ciemnizców”, pogrążyć się w średniowiecznym odmieńcu zabobonu i ciemnoty, która tu, wśród tych właśnie synów pustyni, wśród piaszków i ponurych dżebelów znalazła swój ostatni bastion.

*) Drużowie, najwaleczniejsze plemię, zamieszkujące Bliski Wschód, w dzisiejszym pseudo-niezależnym państwie Dżebel Druż (pasmo górskie Dżebel Hauran). Wyznają tajemniczą, zrodzoną w Egipcie religię, według niektórych uczonych mają bardzo silną domieszkę krwi aryjskiej, powstała przypuszczalnie przez zmieszanie się z pozostałymi na Wschodzie niedobitkami krzyżowców.

**) Fauzi Bey ed Dinc Kauidi, głównodowodzący powstańców arabskich w Palestynie 1936 r.

(D. c. n.)